



Szilárd Borbély

WYKORZENIENI

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

WYKORZENIENI



Szilárd Borbély
WYKORZENIENI

Tłumaczenie Karolina Wilamowska

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Seria: Literatura

Projekt okładki: *Agnieszka Kucharz-Gulis*

Fotografia na okładce: fotoyou/Depositphotos

Tytuł oryginału: *Nincstelenek Már elment a Mesijás?*

Szilárd Borbély: *Nincstelenek. Már elment a Mesijás?*

The Original Hungarian edition has been published by Kalligram,
Bratislava, 2013

© Szilárd Borbély 2013

© Suhrkamp Verlag Berlin 2014

All rights reserved by and controlled through Suhrkamp Verlag Berlin



PETŐFI LITERARY MUSEUM

Tłumaczenie książki dofinansowane z funduszków Hungarian Books & Translation Office i Petőfi Literary Museum

© Copyright for Polish Translation and Edition by Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Wydanie I, Kraków 2016

All rights reserved

Niniejszy utwór ani żaden jego fragment nie może być reprodukowany, przetwarzany i rozpowszechniany w jakikolwiek sposób za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych oraz nie może być przechowywany w żadnym systemie informatycznym bez uprzedniej pisemnej zgody Wydawcy.

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa”.

Publikacja odzwierciedla jedynie poglądy autora i Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za umieszczone w niej treści.



Co-funded by the Creative
Europe Programme
of the European Union

ISBN 978-83-233-4050-8; e-ISBN 9783-83-233-9733-5



www.wuj.pl

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego

Redakcja: ul. Michałowskiego 9/2, 31-126 Kraków

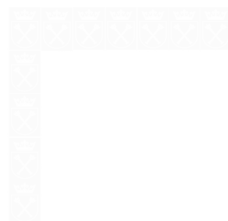
tel. 12-663-23-81, tel./fax 12-663-23-83

Dystrybucja: tel. 12-631-01-97, tel./fax 12-631-01-98

tel. kom. 506-006-674, e-mail: sprzedaz@wuj.pl

Konto: PEKAO SA, nr 80 1240 4722 1111 0000 4856 3325

2•3•5•7•11•13
•17•19•23•29•
31•37•41•43•
47•53•59•61•
67•71•73•79•
83•89•97•101



Idziemy i milczymy. Między nami jest różnica dwudziestu trzech lat. Dwadzieścia trzy to liczba niepodzielna. Dzieli się tylko przez siebie. I przez jeden. Taka jest nasza samotność. Nie da się jej rozbić na części. Trzeba dźwigać ją w całości. Niesiemy obiad. Idziemy po nasypie. My mówimy: kopa. Kopa Ogmanda. Tędy chodzimy do lasu po drewno. Czasem omijamy Łęgi, żeby później przejść Steczką. Bo tam mniej błota. My mówimy: plajty. Albo przez Hrabiowski Lasek, cały czas Deskówką. Mama ma chustkę na głowie. My mówimy: salinówkę. Kobiety muszą zakrywać głowy. Starsze robią węzeł pod brodą. Im wolno chodzić tylko w czarnych. Chustka mamy jest kolorowa. Wiąże ją z tyłu, pod kokiem. Latem nosi cienką, trójkątną. Białą w niebieskie grochy. Tata kupił ją rok temu na jarmarku w Kölcse. Mama ma rudobrzązowe włosy. Kasztanowe. Nie wszystkie kasztany są rude. Jesienią zbieramy je z siostrą. We wsi rośnie tylko jeden kasztan, w dawnym folwarku Barkóczyego. Pozostałe wycięli po wojnie. Tutejszą podmokłą ziemię znoszą tylko topole. I wierzby. My mówimy: łoży. Wiosną łatwo z nich wystrugać gwizdek, łożowy gwizdek. Drażnimy nim mamę. Psy i sąsiadów.

Jesienią wymykamy się za Łąkę Kepeca, gdzie rośnie kasztan. Skradamy się ogródkami. Pod koniec lata wokół ogromnego drzewa leżą uschnięte pięciopalczaste liście. Odcięte dłonie olbrzymów. Wiosną kwitną na nim białe świece. Zielona łupinka to jeż. Nogi robimy mu z zapalek. Prosimy o nie mamę. Tylko ona może ruszać zapalki, bo to nie zabawka dla dzieci.

„Nóż, zapalki, wrzątek, nie dla dziecka rączek”, nuci.

„Teraz my jesteśmy panami. Lud jest panem. Kiedyś doili nas, to teraz my będziemy doić kułaków... A jak się komu nie podoba, to droga wolna!”, mówią dawni wyrobnicy.

„Takim to łatwo gadać, bo ani jednego gwoźdźcia nie wnieśli do spółdzielni”, powtarza dziadek, któremu najbardziej żal koni. „Oni tylko biorą”.

„Byle się nachapać”, szepcze z odrazą.

„Tylko marnować potrafią, trwonić. A do gospodarki każdy z nich ma dwie lewe ręce”.

Gospodarze najbardziej żałują koni, ziemi mniej.

Katowano je w teesie¹, aż wyzionęły ducha.

„Pozdychały. Padły przed czasem. Na co to komu było?”, mówi dziadek.

Nowi panowie są niecierpliwi i porywczy. Wszystkich tytułują towarzyszami. Wymyślili też nowe powitanie.

„Zera jak ich ojce. Tylko patrzą, co by darmo wziąć”, mruczy.

„Naprzód, towarzysze!”, wołają zamiast pochwalonego. I nieustannie mówią o postępie.

„Trzeba iść z duchem czasu, towarzysze, z postępem! Produkujeśmy wszystko, co tylko chcemy. Jak kauczuk, to kauczuk. Jak ryż, to ryż. Co rozkaże partia! Słowa towarzysza Stalina i towarzysza Rákosiego² to świętość. Naturę trzeba zwyciężyć, towarzysze!”, powtarzali brygadziści ludziom dygoczącym na wczesnoporannych zbiórkach. W międzyczasie pociągali raz czy dwa z butelki.

„Pies wam mordę lizał, towarzyszu”, mieli w ustach dziadek, żeby inni nie słyszeli. Ale i tak słyszą. Wiedzą.

„No, no, uważajcie na słowa”, syczą nowi panowie. Ale nie chcą kłopotów. Dość ich mieli. Kułaków wypuszczono już z obozu. Większość zaraz się wyniosła. Nie wytrzymali we wsi. Ludzie nie żalowali, że nie muszą im więcej patrzeć w oczy.

¹ Termelőszövetkezet (w skrócie: TSZ) – Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna.

² Mátyás Rákosi (1892–1971) – węgierski komunista, pierwszy sekretarz Węgierskiej Partii Komunistycznej w okresie stalinowskim.

Wycięto ozdobne drzewa, rozebrano folwarczne budynki. W miejscu kasztanowej alei stanął dom partii. O majątku się nie wspomina. Ani słowem.

„Chłopi potrafią dobrze milczeć”, mawia mama.

Nie wolno wspominać przeszłości. Starzy ludzie mówią, że zamierzchłych dziejów. To, o czym milczymy, nie istnieje. „Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata...”, śpiewają ludzie za organistą, tak jak na pogrzebach.

Za dnia mama nosi spięte włosy. Gdy je rozpuszcza, zapada wieczór. To ja ją czeszę. Lubię, jak pomiędzy ząbkami rogowego grzebienia prześlizgują się błyszczące pasma. Lśnią jak noc. Jak rozgwieżdzone niebo, ładnie pachną. Trawą. Chlebem. Mlekiem. Grzebienia się brzydzą. Przypomina mi zabite zwierzęta. Szpary między zębami zalazły brudem. Zlepkiem łupieżu, łoju i kurzu. Kobiety wiążą włosy w kok. Spinają je rogową klamrą. Za dnia mama chowa włosy pod chustką. Moja starsza siostra jeszcze nie. Włosy myjemy w sobotę. Wieczorem stawiamy na podłodze balię do mycia. Na kuchni gotujemy wodę, kąpiemy się w niej po kolei. Najpierw siostra, potem ja, na końcu mama. Wszyscy myjemy włosy olejowym szamponem, splukujemy garczkiem wody. Dlatego pachniemy tak samo.

Czuję to już w progę. U innych tak nie pachnie. Właśnie idziemy po chrust do lasu. Mama ma ciemną chustkę z wełny. Szarą i grubą. Zawiązała ją pod brodą jak stare kobiety, żeby grzała w uszy. Bo jeszcze jest zimno. Ja marznę, trzymam mamę za rękę. Jej dłoń jest ciepła, moja lodowata. Jeśli mama akurat coś niesie, a zawsze coś taszczy, wsadzam ręce do kieszeni. W kieszeni próbuję ogrzać dłonie. Marzną mi paznokcie. Nie rozumiem, jak mogą marznąć paznokcie. Zastanawiam się nad tym, próbuję dotrzymać kroku mamie. Latem chodzimy zbierać pozostawione po żniwach kłosa. Chciałbym, żeby było już lato. Najwięcej można znaleźć na samym brzegu rzyska. Latem przynajmniej jest ciepło. Ale wtedy mi to przeszkadza.

„Jak nie urok, to sraczką. Choćby wam dupska miodem posmarował, też wam nie dogodzi”, mówi mama. I śmieje się. Jakby powiedziała coś zabawnego. A przecież to nie jest zabawne.

Idziemy chodnikiem, dygoczę z zimna. Zawsze dygoczę. Marzną mi ręce i palce u stóp. Mróz wymalował pajęczyny w oczkach siatki. Dobrze teraz widać splątane nitki. Dla zabawy przebijam je palcem, a wtedy znikają jak za dotknięciem magicznej różdżki. Wystarczy przerwać jedną, żeby całość się rozpadła. Nitki pękają, przypominające cukier kryształki szadzi sypią się na ziemię. Czasem brzęczenie siatki zwabia psy. Jeśli mama na mnie nie krzyczy, patykiem lub witką przeciągam po siatce. Wtedy większość nie szczeka. Niektóre psy biegną za nami po drugiej stronie płotu, dopóki nie minimy zagrody. Te są nerwowe. My mówimy: narwane. Obnażają dziąsła. Szczerzą śnieżnobiałe kły. Drepczą w miejscu. Rozsadza je wściekłość.

„Czego je zaczepiasz?”, pyta mama.

„Nie zaczepiam”, mówię i wciskam głowę w ramiona. Kątem oka śledzę jej rękę. Stoję po lewej. Lewą ręką zwykle nie bije. Oddycham z ulgą.

„Nie kłam”.

„Tylko zrywam pajęczyny”, mówię. Mama milczy, szarpie mnie ostro za rękę i przyspiesza kroku.

„A, ty gangreno”, mówi. Kiedy mnie tak nazywa, to znaczy, że się nie gniewa.

Siostra jest pierwsza. Ja drugi. To moja cyfra, dwójka. Siostra to Starsza. Jest dziewczynką. Ja jestem Chłopak. Nasz braciszek to Malutki. On jest trzeci. Tak na nas wołają.

„Pobujtajcie Malutkiego”, mówi mama. Kołyszymy go i usypiamy. Liczę ruchy kołyski. Raz, dwa, trzy. To były pierwsze cyfry, jakich się nauczyłem. Już od dawna umiem liczyć do dziesięciu. Ćwiczę na jajkach. Nigdy nie mamy więcej niż dziesięć kur.

Mama każe mi liczyć jajka, żeby wiedzieć, ile tego dnia zniosły kury. Rano po kolei je maca i wyrzuca z kurnika. Lewą ręką chwytą skrzydła, przyciska kurę do siebie, a palec wskazujący prawej ręki wpycha do kupura. Tam już czeka jajko, można wyczuć je palcem. Mama liczy, ile jajek zniosą tego dnia, a ja muszę je wszystkie odszukać, zanim zajdzie słońce. Zimą trzeba się spieszyć, bo wcześniej się zmierzcha.

Kiedy jest ich mniej, niż policzyła, mama krzyczy. Siostra ma swoją robotę, za którą jej się obrywa. Do południa kury znoszą jajka. Po obiedzie zaczynam szukać. Wiem już, gdzie zwykły je chować. To nie kwoki, nie wysiadują jajek, po prostu je ukrywają. W stogu, pod stertą drewna, za szopą. W skrzynce niesie się tylko kilka, a przecież tam mają naszykowane.

Od jakiegoś czasu to ja macam kury. Niedobrze mi, cały palec mam w kurzym gównie. Wżera się pod paznokiec, nie mogę go wymyć. Ale przynajmniej mama nie wie, ile będzie tego dnia jajek. Zawsze mówię o jedno mniej. Jeśli znajdę więcej, jedno odkładam na następny dzień. Dzięki temu na mnie nie krzyczy.

„Na pewno?”, pyta. Widać, że kłamię.

Cieszę się, kiedy znajduję siedem jajek. Lubię siódemkę. I trójkę.

Kiedy je dodam, wychodzi dziesięć. Dotąd umiem policzyć.

Ziemia jest wciąż siwobiała od szronu. Idziemy drogą poszatkowaną przez koła wozów. Wycięły w błocie głębokie bruzdy. Teraz się nie lepi, bo trzyma mróz. Wszędzie leżą bryły błota. My mówimy: bryle. Kopię w nie. Łamię się i kruszą. Albo toczą się dalej. Czasem boli mnie od tego palec u stopy. Nie szkodzi, przynajmniej nie drętwieje z zimna. Dopóki boli, wszystko w porządku. Mam zdarte buty. Cienkie spodnie zamiast kombinezonu. Przymała kurtkę. Szalik i czapkę po siostrze. Onuce na nogach. Szmata ciągle się zsuwa, a wtedy nogi marzną mi jeszcze bardziej. Zawsze marznę, bo jestem gapa. Nie potrafię ściśle owinąć nóg onucą, a końca zatknąć pod spodnią warstwę z tyłu łydki. Jakbym zrobił to porządnie, onuca by się nie rozwijała. I nie marzłbym. Mama nie ma czasu owijać mi nóg.

„Jesteś już dużym chłopcem. Czas się nauczyć”, mówi, kiedy proszę o pomoc.

Idziemy oblodzonym chodnikiem pośród oszronionego zielska. Śniegu już nie ma. Ale wszystko jest jeszcze zamarznęte. Ogródki stoją zwichrzone i opustoszałe.

„Przebieraj szybciej nogami”, upomina mnie.

Zimno mi w lewą rękę. Za prawą trzyma mnie mama. Ma duże dłonie o twardej, popękanej skórze. I brudne paznokcie, jak każdy. Mężczyźni